OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 10 Maja 1865 roku.

Nr 19. | Cena w Warszawie 40 groszy miesięcznie. — Cena na prowincji na stacjach pocztowych 5 złotych kwartalnie. | Rok I.

NEAPOL.

(WSPOMNIENIE Z PODRÓŻY PO OBCZYZNIE).

Jak zaczarowany pałac w promieniach fantastycznych, taką mniéj więcéj rolę gra Neapol, w opowiadaniach i opisach podróżników. Ma to być miasto—nie, nie miasto; ale coś czego językiem ludzkim dokładnie wyrazić nie można, coś niby poemat zaklęty w kamienie i zawieszony pośrodku, pomiędzy lazurowem niebem Włoch i lazurową szybą morza, upiększony wszystkiemi cudami i czarami, na jakie tylko natura południowa zdobyć się może.



Neapol od strony Wezuwiusza.—(Rysował Kozarski—wyciął na drzewie Gorazdowski).

Że Neapol, jest jednem z piękniejszych miast Europy, temu gdybym przeczył, mógłbym ujść za

excentryka, ganiącego dla tego tylko, ażeby nie pochwalić, nad czem inni się unoszą. Że nie zasługuje on na reputację, jaką mu zrobiono, tego gdybym nie uznał, miałbym sam siebie za papugę powtarzającą wyuczone na pamięć wyrazy. Żeby przeto i innym nie uchybić i sobie dogodzić, powiem, że przez pół mają rację ci, których położenie niegdyś stolicy byłego królestwa Neapolitańskiego i obojga Sycylji zachwyca, przez pół mam rację i ja, któremu Neapol wydał się miastem zwyczajnem.

Są oczy i oczy. Powiadają, że harmonja zewnętrznych kształtów, stanowiąca o piękności przedmiotów, na jeden wzrok działa w ten, na drugi w inny sposób. Zapewne przeto oczy moje są tak od natury usposobione, że nie umieją uroków prawdziwéj ocenić piękności. Być może: dość, że Neapol wydał mi się pięknym ale nie zachwycającym, pomimo, że widziałem go w warunkach dla jego piękności najkompletniejszych, bo krótko, raz w życiu, w Maju, przy wschodzącem słońcu.

Nasłuchanie się i naczytanie o Neapolu sprawiło to, żem go na wybrzeżach włoskich wyglądał w ten mniéj więcéj sposób, jak kochający po raz pierwszy młodzieniec, wygląda wiejskiego mieszkania kochanki, którą poznał w tłumie różnych ludzi, gdzieś na balu, w kościele, w salonach jakiejś stolicy, i ona mu cichym powiedziała szeptem:

— Mieszkam w wiejskiem zaciszu... Przyjedź...

On jedzie, zapytując siebie co chwila:

— Jak też wygląda to zacisze mojéj kochanki?...

I buduje w swojéj wyobraźni gniazdko, otulone mchami, owinione bluszczami, ocienione lipami, ozdobione najpiękniejszemi kwiatami; pełne cichego brzęczenia, niby jakiegoś rozmarzającego śpiewu, pełne woni balsamicznéj—a jadąc wciąż czyni sobie porównania pomiędzy tem co widzi, a tém co jest wyobraźni jego utworem. Każde trochę ponętniejsze położenie, służy mu jako materjał do jego budowli, którą wciąż otacza, a otacza wszystkiemi urokami. Tu widział skałę ozielenioną krzewami, owdzie ujrzał szereg wystrzelonych topoli; gdzieś indziéj, wpadła mu w oko brzoza płacząca; natychmiast skałę, topole i brzozę przeniósł do wiejskiego zacisza i rozsadził je w taki sposób, że obraz coraz piękniał a piękniał.

Tak samo i ja jechałem do Neapolu, w którym mnie, lubownika pięknéj natury, rozmiłował przed laty piętnastu pewien turysta. Był to młody człowiek, syn wysokiego jakiegoś urzędnika. Zjechaliśmy się na morzu pod murami La Valetty. Ja jechałem z kupieckiéj Marsylji, on z poetycznej Italji. Puścił się w świat nie znając żadnego języka, jakiemi narody na zachodzie mówią. Był więc zachwycony, znalazłszy we mnie człowieka, z którym się mógł porozumieć i podzielić wrażeniami krótkiéj ale dalekiéj podróży: krótkiéj, bo tylko sześciomiesięcznéj, dalekiej, bo obejmującéj Niemcy, Anglją, Francją, Hiszpanją i Włochy. Była to podróż wrażeń: bo nie umiejąc się z ludźmi rozmówić, nie będąc w stanie żadnych drukowanych radzić się przewodników, musiał poprzestawać na tem co widział, co zewnętrznością do jego duszy przemawiało. Ten sposób podróżowania miał tę dobrą stronę, że rozwinął w nim i spotęgował zmysł widzenia, jak to ma miejsce z ludźmi pozbawionymi słuchu. Widział lepiéj niż inni, a widział mnóstwo—bo Niemcy, Anglją, Francją, Hiszpanją i Włochy zjeździł wzdłuż i w poprzek, zwiedził nietylko stolice, ale każde znaczniejsze miasto, każdą ciekawszą miejscowość, kierując się według jeografji i historji, których w szkołach się uczył. Miał nawet swoją jeografją ze sobą. Pokazywał mi ją. Była poznaczona ołówkiem, pełna uwag i dopisków. Za jéj pomocą trafił do takich naprzykład zakątków: do Waterloo, dla tego, że tam pobitym został Napoleon; do Hastings, dla tego, że tam Wilhelm Zdobywca pokonał saksońską rassę; do Xeru de la Frontera, dla tego, że tam Maurowie dokonali zdobycia Hiszpanji i do mnóstwa tego rodzaju miejscowości, i zewsząd miał pamiątki, któremi napakował duży kufer. Obok tego, miał jeszcze grubą in folio księgę zapisaną od początku do końca drobnem pismem, pod tytułem: *Wrażenia*. Pokazywał mi i pamiątki i tę księgę. Pierwsze składały się z mnóstwa różnych kosztownych i niekosztownych drobiazgów, zbieranych skrupulatnie na każdym niemal kroku, poczynając od klejnotów po kilka tysięcy franków płaconych i drobniejszych prób sztuki, a kończąc na grudeczkach gliny i afiszach, darmo po rogach ulic Londynu i Paryża rozdawanych. Druga była rysunkiem fizjognomji Europy, zrobionym od oka nawpół wykończonym szkicem miast, wsi, i gmachów, różnych położeń i podróżnych towarzystw. Turysta rozpisywał się szeroko o wszystkiem co widział, i ciekawemi były niektóre jego postrzeżenia. Przedmioty szły po przedmiotach rozdzielone osobnemi tytułami. Naprzykład: Królewiec, pod nim kilka stronnic postrzeżeń: daléj Berlin i postrzeżenia; daléj Poczdam, Szczecin, Drezno i t. d., i t. d., aż do końca. Przerzucając tę księgę, uderzył mnie tytuł: „Neapol” a pod nim wielkiemi literami „Ach!” i nic więcéj. Zadziwiło mnie, że człowiek, co tak wiele umiał napisać o jakiemś np. Anspach, bardzo mało znacznym w historji, jak Beranger o królu Yvetotu powiada, nie miał nic do napisania o Neapolu. Wyraziłem mu to moje zdziwienie.

— Cóż robić!.. odrzekł—język ludzki nie posiada wyrazów na odmalowanie piękności Neapolu... Można się nim zachwycać, ale nie można go opisywać...

— A przecie tyle jest opisów... wtrąciłem nieśmiało, widząc wyraz uwielbienia, jakie na twarz onego wypadkowego towarzysza wspomnienie Neapolu wywołało.

— Świętokradztwo!..—zawołał na to z przyciskiem.—Świętokradztwo!.. Ile opisów, tyle świętokradztw ludzie popełnili, dla dogodzenia świerzbiączce autorstwa. Pan widzisz, że i ja na tę świerzbiączkę choruję... Ta gruba księga, jest tego dowodem. A jednakże, nie odważyłem się sprofanować Neapolu opisem...

— Tak go znalazłeś pięknym?..

— Pięknym?.. A!.. Nie mówmy o tém...

Chciałem, ażeby mi coś powiedział o Neapolu. Lecz wszelkie zabiegi i usiłowania, jakie w tym względzie czyniłem, nie zdały się na nic. O wszystkiem innem mówił dużo i lubił rozpowiadać. Raz przez godzinę blizko bawił mnie szczegółami o piasku, jakim wysypane są ulice ogrodu w jednéj ze czterdziestu niemieckich stolic. Ale o Neapolu milczał jak pień, tylko mu się oczy wyrazem zachwycenia świeciły.

Ten niemy zachwyt turysty, prześladował mnie przez lat piętnaście. W każdéj tedy podróży, nawet kiedy jechałem do powiatowego miasta w interesie procesu o kopiec graniczny, lub do parafial-

nego kościoła na nabożeństwo, zawsze myślą nawracałem do stolicy obojga Sycylji, na jéj rachunek zużytkowując w mojéj wyobraźni nasze groble i stawki, wierzby i łąki, słowem wszystko, wszystko, aż do łanów zbożem zasianych, aż do karczemek przez obdarte żydzięta zamieszkałych. Stawy rozdymałem w morską zatokę, wierzby zmieniałem w pomarańczowe drzewa, z grobli wyciosywałem wybrzeża, łąki rozściełałem kobiercami w niespodziankowy sposób, z łanów pożyczałem metalicznego odblasku, którym tu i owdzie przyozdabiałem pejzaż, ożywiony obecnością obdartych żydziąt, figurujących jako lazzaroni. Cóż dopiero, gdy z nad naszych prozaicznych stawków i grobelek, wymknąłem na poezją zaczarowane wybrzeża Włoch. Nie potrzebuję o tem i mówić, że spieszyłem do Neapolu, jakby tuż za mną jakieś nieszczęście ścigało i za kark mnie chwytało. Uciekałem z Niemiec i Szwajcarji, uciekałem z Medjolanu, Turynu i Genui, i z jakąś dziwną lekkością wskoczyłem na pokład parowca, który z portu ostatniego z wyżéj wymienionych miast, miał mnie przenieść do przedmiotu niemego zachwytu mego turysty. Genua, Liworno, Civitta-Vecchia zaostrzały mi, jeżeli tak wolno się wyrazić, apetyt w podobny prawie sposób, jak smakoszowi przed obiadem zaostrzają apetyt osolone i opieprzone przysmaki. Zbierałem z nich wzorki do wspaniałego obrazu, którym z góry moja fantazja się lubowała.

— W tem musi być coś neapolitańskiego...—powtarzałem sobie co chwila, wpatrując się w tysiące nieszczególnych szczegołów i nieciekawych ciekawości, które piękniały przez to samo, żem je o neapolitanizm podejrzywał. Nawet Civitta-Vecchia schowana za wysokiemi murami, obstawiona szyldwachami, na kłótkę zamknięta i jak więzienie stanu wyglądająca, nie wydała się mi wstrętną. I nad nią uniosło się wyobrażenie „Włochy," a w tem wyobrażeniu, tkwił obraz Neapol, ozłacający sobą nawet to, co na pozłotę nie zasługiwało.

Rozumie się, że parowiec płynął powoli—żółwim naprzód posuwał się ruchem. To mnie gniewało i niecierpliwiło. W takich razach jedynym resursem są towarzysze podróży, bo co do książek, które na użytek śpieszących się wędrowców *biblioteki kolei żelaznéj* wystawiają, to te służyć mogą tym co się nudzą, nie zaś tym, co się gniewają. Pomiędzy nudami a gniewem taka różnica, jak pomiędzy książką a żywem słowem. Na nudy miałem lekarstwo w Meksyku, opisanym, pod względem przeszłości i przyszłości, urzędowo-natchnionym stylem, przez świeżo zeszłego z tego świata pana Barancourt. Na gniew musiałem szukać lekarstwa w żywem słowie towarzyszy, których mi Opatrzność zesłała.

Śród licznego towarzystwa, często trudno znaleść towarzystwo. Zdarza się to tym, co jeżdżą dyližansami, kolejami żelaznemi i statkami parowemi, gdzie w nadzwyczajnie skomplikowany sposób zastosowuje się, znana u nas z daniem dawna reguła: kto na czyim wózku jedzie, tego piosnkę śpiewać musi. Dyližans, kolej żelazna, statek parowy, jest spólnym mnóstwa ludzi wózkiem, z których żaden nie ma do niego prawa własności. Ztąd każdy ma prawo robić co się mu podoba, i nikt nie ma prawa rozporządzać się dowolnie. Z tego powodu, pomimo że każdy wiezie na swoim wózku wszystkich; nikt nie jest obowiązany śpiewać piosnkę tego, na czyim wózku jedzie. Z téj komplikacji koniecznym sposobem wynikają ustępstwa bez końca, jakie podróżni podróżnym czynią.

Skutkiem tych ustępstw, dość trudnem jest dobranie sobie towarzyszy, którzy by gniewny zwłaszcza nastrój humoru byli w stanie rozpędzić. Zależy to od szczęścia. Prosty naprzykład wypadek, sadza obok nieznajomego jakiegoś człowieka, który niechcący potrąci i powie:

— Przepraszam...

I to jedno „przepraszam" staje się końcem nitki, po któréj się idzie do kłębuszka rozmowy; zawiązuje się znajomość, zabiera poufałość i zdobywa towarzystwo.

Owóż taki wypadek zwrócił moją uwagę na czterech księży: dwóch zakonników i dwóch świeckich.

Księża we Włoszech, to coś niby żółte kwiaty, na naszych łąkach. Gdzie się nie obrócisz, wszędzie ich ujrzysz, i tak ze sobą oswajają w końcu wzrok, że nie zwracają na siebie uwagi. Wypadek jednakże ten, o którym tylko co mówiłem, chciał, ażeby uwaga moja mimowolnie zwróciła się na czterech księży, trzymających się razem, co dawało poznać, że z jednego pochodzą gniazda. To ostatnie dawało się jeszcze poznać z ich min. Było w nich coś niewłoskiego, ani niemieckiego, ani francuzkiego, ani angielskiego.

— Co to za jedni?.. postawiłem sobie zapytanie.

Zapytanie podobne jest najniewłaściwszem ze wszystkich, jakie człowiek w epoce parowéj jazdy postawić może. Cóż jednakże poradzić, jeżeli się do myśli przyplącze i spokoju nie daje!.. Trzeba mu uczynić zadość. *(Dalszy ciąg nastąpi).*

ALEKSANDER FREDRO.

Najcelniejsze stanowisko na polu poezji, zajmuje niezawodnie poezja dramatyczna, a w poezji dramatycznéj, obok trajedji i dramatu, niepośredni przypada udział komedji, która z mieczem dowcipu, stoi na straży narodowych obyczajów. W tym to rodzaju poezji, stanął jako niezrównany mistrz, jako najznakomitszy komedjo-pisarz polski, Aleksander *Fredro*.

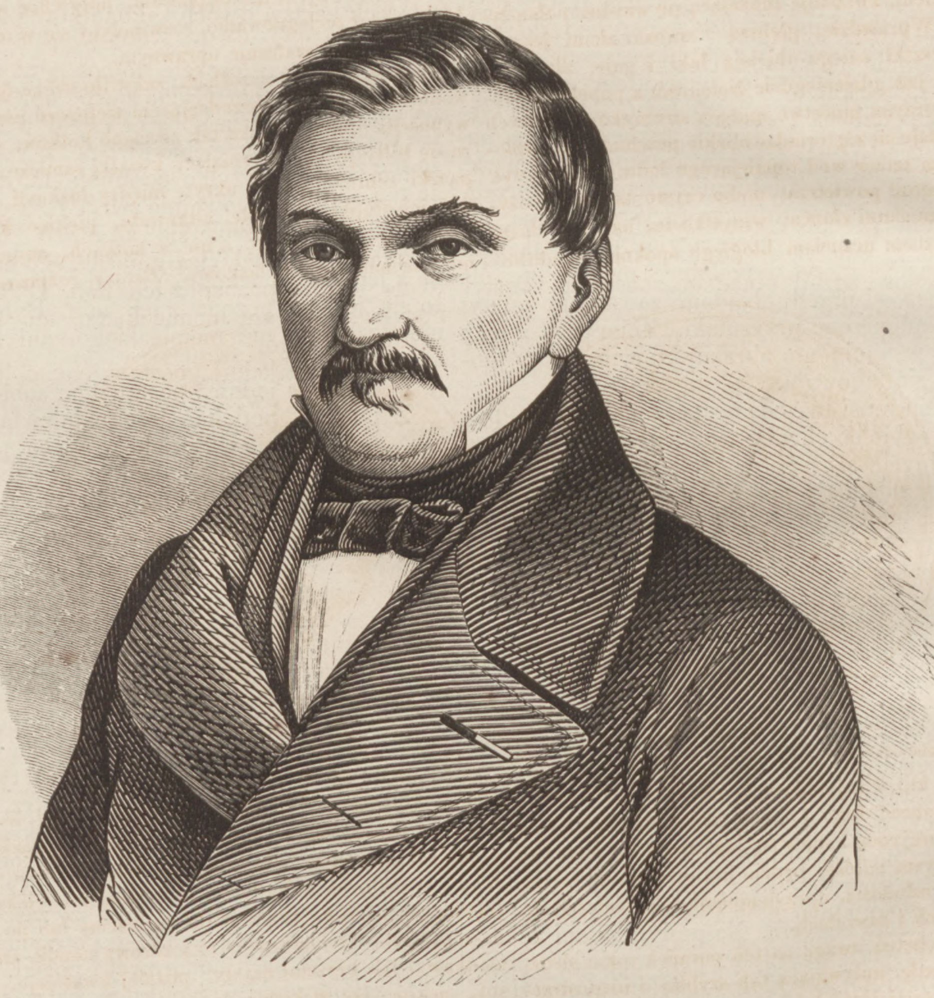
Urodzony w Galicji, potomek znakomitéj rodziny polskiéj, służył Fredro za czasów Księztwa Warszawskiego wojskowo, a odbywszy zaszczytnie kompanje za wojen Napoleona I-go, otrzymał w nagrodę męztwa krzyż legji honorowéj i polski.

Po zakończeniu wojen, które wstrząsały całą Europą, usunął się Aleksander w domowe zacisze, i zmienił szablę na pióro. Biorąc wzory z najcelniejszych komedjo-pisarzy zagranicznych, począł on także próbować swych sił na tem polu. Niezwykły a wrodzony dowcip, służył mu na rozkazy; znajomość świata i ludzi, dozwalała wynajdywać trafne postacie i sytuacje; płynny i dźwięczny wiersz, dodawał niemałego wdzięku dowcipnym utworom. Jakoż posypały się niebawem komedje jak z rogu obfitości. Już w r. 1826 wydał ich kilka drukiem w Wiedniu, i zwrócił na siebie powszechną uwagę. Na kilkanaście lat przed Mickiewiczem, reprezentował on wraz z Janem Nepomucynem Kamińskim, w bardzo korzystny sposób, literaturę polską w Galicji. Główne swe starania, zwracali oni ku podniesieniu sceny ojczystéj; niebawem też zasłynęła scena polska we Lwowie, jako jedna z najlepszych. Przedstawiano na niéj

w mistrzowski sposób dzieła Fredry, które zawsze hucznemi oklaskami przyjmowano, i które dotychczas innym lepszym miejsca swego nie ustąpiły.

Wszystkich, znanych dotychczas komedji Fredry jest siedemnaście; autor, jak zaręczają, ma jeszcze kilka wybornych w rękopiśmie, lecz urażony krytyką, nie chce ich dać na scenę. Nikt nie przedstawił tak dobrze salonu polskiego na scenie jak Fredro, nikt nie prześcignął go w kreśleniu narodowych postaci, nikt nie dorównał mu tak bujnym a swojskim dowcipem. Najcelniejsze komedje jego, a mianowicie: „*Zemsta*," „*Śluby panieńskie*," „*Dożywocie*," „*Jowialski*," „*Damy i Huzary*" i *pan Geldhab*," pozostaną na zawsze w swym rodzaju arcydziełami. Takie postacie jak Cześnik Raptusiewicz, Łatka, Jowialski i t. p., które w niezrównany sposób, zgasły niedawno we Lwowie, aktor Jan Nowakowski przedstawiał, a w Warszawie Rychter i Królikowski, pozostaną niezatartemi typami polskiéj komedji. Z nich, jak i z wszystkich postaci Fredrowskich, tryska na każdym kroku prawda, pełnia życia i świeżość, każda z nich jest okrągłą całością i wykończonym charakterem. Malując takie postacie w przedziwnie komicznych zawikłaniach i sytuacjach, nie traci jednak Fredro wyższego celu; znawca duszy i serca pojedynczych ludzi, zna on także dobrze duszę i serce narodu, i umie biczem satyry chłostać skazy w nich zawarte. I tak, jeżeli w *Zemście* potępia pieniactwo i żąda bratniéj zgody, to w „*Cudzoziemczyźnie*" wyśmiewa tych, co nie zagraniczną wiedzę, lecz głupie narowy z zagranicy na własnéj ziemi zaszczepiać usiłują; w *Dożywociu* wyszydza lichwiarskie matactwa, a w *Geldhabie* nadętego lecz głupiego bogacza. Wszędzie zdrowa myśl jako cel, a błyszczący dowcip jako środek.

Za tyle wspaniałych kwiatów literatury polskiéj, należało się okazanie wdzięczności autorowi, który już trzecią generację utworami swemi żywi i wychowuje. Jakoż, zeszłego roku, podniosło było kilku obywateli we Lwowie myśl, aby rozpisać składkę i wybić medal na cześć Aleksadra Fredry. Myśl ta znalazła gorące poparcie i przyszła niebawem do skutku. Zebrano pieniądze, wybito medal i dnia 26 marca b. r. oddała go trudniąca się tem komissja, weteranowi polskiego piśmiennictwa.



Aleksander Fredro.—(Wycięto w drzeworytni Wiedeńskiéj Waldheima).

Przy wręczaniu medalu, przemówił do poety w gorących słowach, dawny jego towarzysz broni jenerał Józef Załuski, który przewodniczył delegacji. Dwaj ci weterani, z ubielonemi od wieku głowami, rozrzewniający zaiste przedstawili widok!

Po przemówieniu jenerała, dziękował Fredro, i rzekł między innemi:

„Pozwólcie, szanowni panowie, abym jako wybranym dla wręczenia mi medalu, złożył w ręce wasze najserdeczniejszą i najuniżeńszą podziękę współrodakom, za ten, jak mówiłem, wielce mi zaszczytny dowód ich życzliwości. Dziękuję i tobie mój dawny towarzyszu broni, za przyjacielskie twoje słowa. Dziękuję za drogie wspomnienia, owych naszych dni trudów, walki, chwały, które przeszły w tradycję.

Dziękuję wam kochani bracia, w imieniu dzieci i wnucząt moich, dla których ten dzień w najpóźniejsze lata chlubą być nie przestanie!”

W taki sposób objawili rodacy wdzięczność jednemu z najznakomitszych swych ludzi. Ten objaw rzuca światło zaszczytu na obie strony.

WIOSENNI GOŚCIE.

Z dalekich krain południa, powiał łagodny wietrzyk. Miękną i topnieją zimowe śniegi. Ciepły deszcz dokonywa zwycięztwa, ogrzewa zmrożoną ziemię. Rozchodzą się chmury, opadają mgły; słońce się ukazuje, a mocniejsze już ciepło jego promieni, zwiastuje zbliżającą się wiosnę, pełną życia i nadziei. Wprawdzie, głębsza warstwa ziemi jeszcze zmarznięta; resztki śniegu ubielają łąki i gaje; ale z pod nich przegląda już gdzieniegdzie zieloność, a popękaną skorupę lodu, przerzyna mnóstwo małych strumyków, których szmer cichy, zdaje się zapowiadać blizkie przebudzenie uśpionéj natury. Ten szmer wód topniejącego lodu, ten wietrzyk ciepły, ta świeżość powietrza; niebo czysto oświecone ożywiającemi promieniami słońca; wszystko to, napełnia duszę jakiemś nieopisanem uczuciem błogiego spokoju i zadowolenia. Szczęśliwy, kto w najmniejszym objawie dzieł Wszechmocnego, widzi dobroć Jego i opiekę nad nami; kto kocha gorącem sercem przyrodę i stara się ją poznać; ten musi być zacnym, bo tu czysta miłość, będzie mu opiekuńczą tarczą przeciwko burzom młodości, uprzyjemnieniem lat podeszłych, pociechą w troskach i zawodach.

Zwróćmy więc chętną uwagę na ten poranek roku; śledźmy każdą jego chwilę, upływającą tak szybko i niepostrzeżenie, a i w najwcześniejszéj dobie jego, znajdziemy przedmioty godne zajęcia. Choć ziemia jeszcze wilgotna, powietrze chłodne, zajdźmy do téj dąbrowy, usłanéj płatami śniegu, zbadajmy to wzgórze mniéj zarosłe krzakami i wystawione ku słońcu. O jak miła niespodzianka! W końcu lutego, tu z téj zmarzłéj jeszcze ziemi, z pod tego śniegu, wystrzeliła piękna choć wątła roślinka. Po nad twardą skorupą lodu, sterczą dwa jéj wązkie, szmaragdowe listki; słaba jéj łodyżka schyla się pod ciężarem białego jak śnieg kwiatka, którego środek i przyszłe zarodki, otacza zielonawy rąbek. To *śnieżyca*, godło niewinności i nadziei, najpierwszy gość w téj dąbrowie, najrańszy kwiatek wiosny! Zerwać go można, lecz cebulkowaty jéj korzonek z trudnością da się odkopać, bo go ściska zmarznięta i twarda jak kamień ziemia; a przecież przebodła ją słaba roślinka. Cóż jéj mogło nadać siłę, równą hartownemu żelazu? oto ciepło roślinne, którem mniéj lub więcéj obdarzone jest każde ziółko; ono to, ogrzewało ziemię w miarę wyrastania łodyżki. Ale co widzę, jakiż to strojny współzawodnik, usiłuje wydrzeć pierwszeństwo skromnemu kwiatkowi, który nas tak uprzejmie powitał. I wzrostem i barwą okazalszy jest od niego: dwa spore listki, równe, kształtne i wązkie, jak u śnieżycy, a jeszcze żywiéj zielone, otaczają kilkocalową łodygę, a na niéj powiewa kwiat duży, ozdobny, różowo-fioletowy; wewnątrz ma trzy żółte niteczki i jedną wyższą nad nie postrzępioną, pomarańczową szyjkę. Jest to *szafran*, pokrewny tego, ktory się w handlu drogo płaci, miłym zapachem zaleca, a w nauce lekarskiéj i w rękodziełach niepospolitą gra rolę. Nasz szafran, wewnątrz swego pięknego kwiatka, mianowicie, w pomarańczowo-złocistéj, postrzępionéj szyjce czyli słupku, zawiera także pierwiastek barwny, a nawet posiada, miły choć słaby zapach. Może przez pielęgnowanie, rozwinęłyby się w nim własności, tyle cenione w szafranie uprawnym.

Tam w tych oto zaroślach, zakwitło *wilcze-łyko*, różowem wonnem kwieciem, uprzedzającem zieloność liści. *Leszczyna* wypuściła długie gronka tak zwanych kotków; w nich zawiera się żółty pyłek, użyzniający kwiatki samicze. Te ostatnie pączki zebrane, są tak ukryte między łuskami, że tylko widać ich słupki, szczupłe, nitkowate, pięknie karmazynowo ubarwione. W nich to, a nie w kotkach, tworzy się znajomy każdemu orzech laskowy. *Brzozy* rozpuszczą wkrótce zielone kosy swoje, strojne balsamicznéj woni liściem, ale teraz są jeszcze nagie ich długie i giętkie gałązki. Za to obfity sok wewnątrz pnia krąży, za lada otworem, ręką wieśniaka zrobionym, dobywa się na zewnątrz i ścieka do podstawionych naczyń, przez rurki ze trzciny lub po cienkich deszczółkach. Ochładzający to i zdrowy napój, zrazu nieco słodkawy, jak kryształ czysty, później kwaśnieje. Podobny sok, cieknie już w końcu lutego z klonu (kiedy wiosna wczesna), a jest jeszcze słodszy, lecz nie tak obfity. Nad brzegiem przyległego strumienia, stoją wierzby o gibkich czerwieniejących gałązkach. Te wielkie dziś drzewa, powstały z małych nasionek, które przed laty, na staréj wierzbie w jednym i tym samym kwiatku, w delikatne puchowe okrycie uwinięte, jak dwie zgodne siostrzyczki spoczywały. Gwałtowny wicher uniósł je w powietrze, i złożył na wilgotnéj ziemi, na niéj zeszły one i rozrosły się w drzewa. W najrańszéj wiosennéj porze, wypuszczają już pączki; opada, okrywająca je dotąd szara powłoka, a z niéj wyglądają miękkie, jak jedwab' kotki. Jedne z nich są żółte, a między szaremi ich łuszczkami, wiszą niteczki okryte złocistym pyłkiem. Są to kwiatki męzkie. Z daleka już pachnie z nich miód najczystszy: pszczoły gromadzą się zewsząd i nasycają słodkim napojem, a na kosmatych swych nóżkach, zanoszą pyłek na przyległą wierzbę samiczą, któréj kwiatowe kotki, zielone i delikatne, z po za każdéj swéj łuszczki, wypuszcza-



Medal ofiarowany Aleksandrowi Fredrze w 1865 r. we Lwowie.—(Rysował Kozarski—wyciął na drzewie Zabłocki).

ją dwie główki, zwykle słupkami zwane. W nich zawiązują się nasiona, małe ziarnka białym puszkiem okryte. Wiatr znów je roznosi i rozrzuca, opadają na ziemię i w przyszłéj wiośnie, młode wierzbowe różczki wydadzą.

Wrócił już skowronek, zwiastując wiosnę najrańszą swoją piosenką. Słońce coraz mocniéj dogrzewać zaczyna. Motylki rozpoczynają wiosenne gonitwy. Najpierwszy z nich o skrzydełkach czerwonych, przy nasadzie czarnych, z obwódką czarną i rzędem błękitnych plamek, zowie się *pokrzywnik*, a składa jaja swoje na pokrzywach. Zeszłéj jesieni wylęgłe z jaj gąsienice, porozłaziły się po ścianach budynków, tam w poczwarki czyli kokony zamienione, przetrwały zimę, a teraz z pod ich suchéj powłoki, strojny motyl wyleciał. Drugim najwcześniejszym gatunkiem, jest tak zwany *cytrynek*, na cytrynowo-żółtych skrzydełkach, ma po jednéj czerwono-pomarańczowéj cętce, gąsienica jego żywi się szakłakiem i kruszyną. Wkrótce ukażą się liczne różnobarwne rzesze, téj najpiękniejszéj rodziny owadów.

A kiedy ci skrzydlaci wysłańcy wiosny bujają w powietrzu; tu w tym brzozowym lasku, sunie się jakieś stworzenie poziome: nierównie większe od kreta, ciało ma długie, wszędzie równe, na nizkich nóżkach, bez uszu, bez ogonka, szarą, miękką, odzieżą, zaledwo od zeschłych liści się różni. Długi spłaszczony łepek, co chwilę do góry podnosi, niby coś wietrzy i jakby po omacku idąc, uważa w którą zwrócić się stronę. Przypatrzmy się bliżéj téj szczególnéj istocie; wszakże nie ma śladu oczów, a całą główkę i pyszczek, z którego dwa długie białe zęby wystają, gęsta sierć odziewa. To *ślepiec*, jedyne w całéj gromadzie ciepło-krwistych zwierzę, zupełnie wzroku pozbawione. Lud *szczenięciem ziemskiem* go zowie i mylnie za jadowitego uważa. Zwierzątko to w niektórych miejscowościach bardzo jest rzadkie; w gub. Wołyńskiéj jednak, a osobliwie w południowéj części powiatu Radomyślskiego (gubernji Kijowskiéj), często postrzegać się daje. Żyje w norach podziemnych, z których bardzo wcześnie na wiosnę, na chwilę wyłazi; głównym jego pokarmem, są korzonki roślin. *(Dalszy ciąg nastąpi).*

CO POWINIEN UMIEĆ CZŁOWIEK UCYWILIZOWANY.

Kilkunastu czeladników i pracowników w różnych fabrykach, zebrało się dla wyprawienia skromnéj uczty, na cześć swego towarzysza, który niedawno powrócił z dalekiéj podróży. Dziwnym zbiegiem okoliczności, nasz młody warszawiak, który nie opuszczał nigdy swego rodzinnego miasta, i nie był daléj jak na odpustach w Czerniakowie lub w Rokitnie, nagle zostawszy spadkobiercą po swoim wuju zmarłym w Stanach Zjednoczonych, zawiadomiony o znacznéj dość schedzie nań przypadającéj, postanowił puścić się w dalekie kraje. Do wykonania tego śmiałego zamiaru, przyczyniła się także chęć podróżowania. W szkole jeszcze będąc, czytał wiele opisów podróży, i to tak jego żywy umysł rozogniło, iż wziął się do nauki drukarstwa i introligatorstwa, aby za pomocą tego rzemiosła, mógł puścić się w świat, i poznać choć sąsiednie nam kraje. Majątek, który niespodziewanie jak z nieba spadł na niego, dozwolił mu prędzéj niż się spodziewał urzeczywistnić błogie marzenia.

Koledzy i przyjaciele naszego wędrowca, prócz celu powitania go, mieli jeszcze nadzieję, iż dowiedzą się ciekawych szczegółów o drugiéj półkuli naszéj ziemi, o których mieli bardzo niedokładne wiadomości, a jakie on własnemi oczami widział, i wiele przygód doświadczyć musiał. Prosili go więc, aby im swoją wędrówkę w krótkości opowiedział.

Kiedy się stało według ich życzenia, i nasz podróżnik skreślił swoje przygody i drogę do Nowego Yorku—a nawet i daléj, bo zapędził się aż między dzikich Indyan—jeden z obecnych odezwał się w ten sposób.

— Powiedz nam, mój Józefie, czy dzicy przyjawszy cię tak dobrze u siebie, jak to utrzymujesz, nie chcieli cię obrać królem swoim; byłby to bardzo zadziwiający wypadek, a ty miałbyś sposobność zająć się ucywilizowaniem tych dzikich czerwonych skór [1]).

— Ej mój kochany, nie sądź by Indyanie w Ameryce, lub dzicy z wysp oceańskich, byli tak skorzy do przyjęcia za króla europejczyka; nie wierz temu. Ci których widziałem, przyznawali wprawdzie wyższość bladym twarzom [2]), lecz bynajmniéj nie mieli ochoty robić ich swemi rządcami; a zresztą, gdyby im przyszła ta głupia myśl, to byłbym im bardzo uniżenie podziękował.

— Dlaczego? zawołali wszyscy z podziwieniem!

— Dlaczego? bo rzeczywiście chociaż uważali mnie, za wyższego od nich pod wielu względami, co do mnie doświadczyłem w wielu razach mojéj niższości. Albowiem nie tylko nie byłbym w stanie polepszyć ich bytu, ale nadto nie zdołałbym wyżyć między nimi.

— Jakto ty Józefie nie umiałbyś ich obznajmić z postępem naszéj cywilizacji?

— Myślicie, że to tak łatwem? mianowicie ty Tomaszu, zdołałbyś oswoić dzikich z tak nazwanym postępem cywilizacji! Naprzód trzeba znać ten postęp.

Jest wielu wędrowców, coby mogli dokonać dzieła o którym wspomniałeś, ale nie ja, ani żaden z nas. Ponieważ tu zeszliśmy się na miłą pogadankę, to wam bez ogródki powiem, że nigdy nie uczułem tak mocno swego nieuctwa, jak wtedy gdym się znalazł o 1,000 mil od swoich i między temi biednemi ludźmi. Byłem bardzo w méj miłości własnéj upokorzony, i powiedziałem sobie: pochodzisz z Europy, szczycącéj się najwyższą cywilizacją w świecie, a jednak nie jesteś w stanie nauczenia tych dzikich nagich, jak sobie mają zrobić odzież, lub najpotrzebniejsze do tego narzędzia. Mógłbym wprawdzie im powiedzieć, zażądajcie od białych odzienia, w zamian za wasze futra, pługów w ten sam sposób, i uprawiajcie ziemię dla wyżywienia waszego. Trzeba być wielkim niedołęgą, żeby się nie zdobyć na taką radę,— ale nie tym sposobem się dochodzi do prawdziwéj cywilizacji. Trzeba nauczyć tych biedaków tyle, iżby sami wystarczyli dla siebie, umieli zrobić wszystko, co jest potrzebne do utrzymania życia w stanie naszéj cywilizacji. Wyznaję ze wstydem, że nie byłbym w możności nauczenia ich tego, co jest pierwszą i najważniejszą potrzebą. Jestem jak wiecie drukarzem i introligatorem, umiem złożyć i oprawić książkę, skleić ładne cacko z papieru, lecz daléj bywajcie zdrowi. Nie wiem i nie znam, jak się robią czcionki, papier i wszystkie narzędzia potrzebne do mojéj pracy.

— Jesteś bardzo skromny, odezwał się jeden z biesiadników. Nie ty jeden znajdujesz się w tem położeniu, iż nie umiesz tyle, ile powinien umieć człowiek, mający pretensją do cywilizacji. Co do mnie, nie wstydzę się wyznać, że bardzo wiele mi brakuje, a nie ubliżę z was tu nikomu, gdy ośmielę się utrzymywać, że wszyscy zebrani tutaj, nie więcéj od nas

[1]) Tak w Ameryce nazywają dzikich Indyan.

[2]) Tak Indyanie nazywają Europejczyków.

dwóch umieją. Otóż jestem sztycharzem, pracuję na miedzi, stali, a nawet na innych metalach, lecz zaledwie mam słabe wyobrażenie, jak się te metale wydobywają z rud, jak się oczyszczają i jak z nich wyrabiają blaszki, do mojego zatrudnienia użyteczne. I gdybym chciał nauczyć dzikich, jak się otrzymuje żelazo, jak się wyrabia stal, okazałbym się kompletnym nieukiem. Jest to śmiesznie niestety, ale tak jest rzeczywiście.

— To coście tu powiedzieli jest świętą prawdą— odezwał się inny towarzysz. Jestem zegarmistrzem, mogę określić wszystkie części wchodzące w skład zegarka i zegaru, ale chociażbym miał wszystkie materjały surowe, z których się te cząstki wyrabiają, nie umiałbym ani jednego kółka, ani jednéj śrubki wyrobić.

— Na honor, zawołał trzeci—jest to historja nas wszystkich, jakąś o sobie powiedział. Każdy z nas umie małą cząstkę .swego fachu, jest specjalistą; usuń go z jego pola i pozostaw własnym siłom— a pokaże się, że brakuje pierwszych elementarnych wiadomości; cóż dopiero mówić o naukach, które zaledwie znamy z nawiska. A jakież to mamy pojęcia, o nowych wynalazkach naszego stulecia? np. o fotografii, elektryczności, galwaniźmie, parze i t. d.? Tutaj wracam się do uwagi naszego przyjaciela, Józefa, który słusznie zauważył, iż byłby w pięknych tarapatach, ze swemi poddanemi i swojem królestwem. Zważcie tylko, w jak przykrem położeniu znalazłby się każdy z nas, gdyby mu przyszło odpowiadać na zapytania dzikich, w najpospolitszych a koniecznych do życia potrzebach, gdyby oni zgodzili się szukać rady u ich cywilizatora. Trzebaby było naprzód wskazać im pożyteczne rośliny, wyuczyć ich uprawy, wyrabiania pożywienia lub materji do odzieży. Który z nas byłby w stanie to uczynić—dać dzikim pożyteczne w tym rady? Wyobrażam sobie, jakby każdy z nas wyglądał zabawnie, gdyby wypadek rzucił nas wpośród dzikich ludów, któreby szukały u europejczyka nauki lepszego żywienia się i okrywania.

— Prawda, prawda — wołali zebrani przyjaciele Józefa.

— A więc, tem lepiéj; ciągnął daléj mówca. Dzisiejsze zebranie i pogawędka, jakby w gronie rodzinnem, podają mi sposobność wypowiedzenia myśli, z którą się oddawna noszę, a którą pozwolicie, że teraz objawię.

Zaczynam od tego zdania, że nie dosyć jest na wyznaniu swéj niewiadomości w pewnych przedmiotach, koniecznych dla człowieka, który się chce liczyć do ludzi ucywilizowanych, ale trzeba się ich nauczyć, a to tym pewniéj i śpieszniéj, że tu nie idzie o wypicie morza.

— Ma racją—odezwano się zewsząd.

— Dobrze,—a więc moja propozycja się uda, a to w ten sposób, słuchajcie! Jeżeli jesteśmy prawdziwemi ludźmi XIX wieku, to możemy się wzajem oświecać, wzajemnie uczyć. Będziemy się schodzić regularnie na te wspólne pogadanki raz w tygodniu, po ukończeniu naszych zatrudnień.

— Bardzo pięknie, to się nam podoba—odezwały się wszystkie głosy.

— Lecz ponieważ wszyscy niewiele umiemy, jakimże więc sposobem mamy się nawzajem uczyć? zapytał jeden z biesiadników.

— Jakim sposobem pytasz—otóż zaraz ci to objaśnię.

Mowiliśmy o pierwszych potrzebach człowieka, to jest o odzieży, nieprawdaż? Chcąc dojść do tego, trzeba naprzód poznać, z czego i jakim sposobem tworzą się surowe materjały, z których przędą nitki, tkają różne materje. Uznaliśmy wszyscy, że przedmiot ten jest dla nas obcy, żaden z nas tego nie umie, i ja także, ale podejmuję się tego nauczyć, ogółowo rozumie się, bo nam nie idzie, aby każdy z nas był tkaczem, lub wyzwolonym krawcem.

Na pierwszem posiedzeniu—mam nadzieję wywiązać się z mego zadania, jak będę mógł najlepiéj, uważając was jak dzikich, chcących się czegoś nauczyć. Następnie ja znowu wejdę w grono Indyan, a drugi z kolei będzie moim nauczycielem; tym sposobem każdy z nas zostanie profesorem nas wszystkich; będzie to tylko zmiana roli.

— Tak, tak, brawo, dobra myśl; tym sposobem podzielemy się wiadomościami, jakie każdy z nas nabyć się postara — i każdy zbogaci się umysłowem bogactwem kolegów; odezwano się prawie jednomyślnie.

— Ponieważ mój pomysł dobrze przyjęliście, musimy na tem jeszcze posiedzeniu, rozebrać nasze role.

— Wybornie!—ty już przyjąłeś jednę Tomaszu, co do mnie, ponieważ najwięcéj mam do czynienia z metalami, wyuczę się więc tyle, że będę mógł wam wytłomaczyć, jak się wydobywają z kruszców, i dać ogólne wyobrażenie o téj nauce, jeżeli kto inny z was, nie życzy sobie zabrać tego przedmiotu.

— Nie, nie, to twój wydział.

— A więc dobrze, dajcie mi dwa miesiące czasu, a postaram się wywiązać z mego zadania, jak będę mógł najlepiéj.

— Sądzę, odezwał się Józef—że dziś w tak krótkiem posiedzeniu, nie zdołamy ułożyć spisu wszystkich nauk, które są konieczne, do zajęcia miejsca między oświeconemi ludźmi. Nadto, zrobię wam jeszcze jedną uwagę, iż nie koniecznie potrzebujemy się ograniczać, w tak ciasnem kółku nas samych. Bo i dlaczegóż nie mielibyśmy przypuścić do naszego grona, towarzyszów uczciwych, chcących się oświecić, lub też nas czego nauczyć?

— Sprawiedliwie—odezwali się wszyscy.

— Aby tak chwalebny zamiar, który spodziewam się po was z wytrwałością dokonamy, wyszedł na zupełny pożytek i trwałe przyniósł owoce, potrzebujemy koniecznie popularnych książek naukowych, mianowicie geografji, historji, fizyki, chemji, technologji i t. p., które w najszczuplejszym nawet zakresie zebrane, już mały księgozbiór utworzą.

— A to się rozumie, że tylko z książek takich, może się wyuczyć ten, co będzie drugich uczył,— odezwał się jeden z towarzyszów—a tych dzieł nie mamy.

— Byłoby to wielką ofiarą na jednego nałożoną, mówił inny—gdybyś miał za swoje pieniądze kupować książki, nie raz bardzo drogie—wnoszę przeto, abyśmy wspólnemi siłami ze składek tego dopełniali.

— To właśnie miałem wam zaproponować—ciągnął Tomasz, wszakże wiecie, że zbiorowemi siłami, wielkie rzeczy się dokonywają. Składając mały datek co miesiąc, z czasem zbierzemy księgozbiór, z którego wszyscy użytkować możemy.

— Zgoda — zgoda — zawołało wielu współbiesiadników.

— Chętnie złożę mój grosz na tak piękny cel, który może, byłbym w innym razie nie oszczędził, odezwał się malarz dekoracji. Ale moi bracia zważmy,

czy zamiar nasz nie jest nad nasze siły. Bo obok nauki, uformowanie biblioteczki—pociągnie z czasem wydatki, którym będzie nam trudno podołać.

— Nie zrażajmy się dziś przewidywaniem trudności, na wstępie nie gaśmy ognia, który nas tak szlachetną myślą zapalił, mówił Józef. Wszakże to zadaniem człowieka, łamać się z trudami. Ten dopiero jest najdzielniejszym, największym, kto umiał złamać wielkie zapory. Niech nas trudności nie zastraszają; do dzieła moi przyjaciele — a kiedy je przywiedziemy szczęśliwie do skutku, dzisiejszy dzień, w którym mnie postanowiliście ucztą powitać, a w którym tak błogą myśl powzięliśmy, będzie najdroższą pamiątką na całe moje życie.

Magiel pokojowy.

Wcodziennych życia stosunkach, rzeczy najpospolitszego użytku, najmniéj zwracają na siebie uwagę. Że takie postępowanie nie jest dobre, dowód najlepszy, iż to co nas najbardziéj obchodzi, najbardziéj też cenionem i o ile się da, ulepszonem być powinno. Dziś zwłaszcza, gdy robotnik drogi i kapryśny, gdy służba po wsiach i miastach, jakimciś niepojętem wyrozumowaniem, zawisłem czyni od swych wymagań, postępowanie chlebodawców; wszystko zasługuje na uwagę, co zmierza do zaoszczędzenia pracy ręcznéj, z 1-éj strony, aby zrównoważyć nadmierne wymagania służby i robotnika, a z 2-éj znowu strony, aby umniejszyć co prawda, dotkliwą i mozolną pracę ręczną.



Magiel pokojowy.—(Rysowała i wycięła na drzewie panna L.)

Myśli powyższe nastręczyły się nam, gdyśmy niedawno oglądali sprowadzony z Pragi Czeskiéj, do jednego z domów prywatnych w Warszawie magiel, jaki załączona rycina wyobraża. Nic prostszego pod słońcem, młodziutkie dziewczę lub stargana pracą i wiekiem kobieta, wygodnie bez utrudzenia w ciągu godziny, wymaglować może bieliznę licznéj rodziny, i to stanowić będzie nie żadną uciążliwą pracę, ale poniekąd zabawkę. Cały przyrząd, stanowiąc niejako sprzęt ozdobny w mieszkaniu, zajmuje bardzo mało miejsca. Ustrój jego wklęsło-obrotowy, z samodziałającą za pomocą sprężyn, wedle upodobania ciężarem regulującą się siłą spiralną.

Rysunek daje dostateczne pojęcie o mechanicznéj budowie tego magla; ktoby go chciał bliżéj obejrzeć w naturze, z łatwością uczynić to może, zwłaszcza w Warszawie, gdzie o ile wiemy, tutejsze fabryki machin i narzędzi rolniczych, już go budować dawniéj zamierzały. Wynalazca tego magla nazywa się Fiszer, i pochodzi on z Pragi, miasta stołecznego Czech.

ROZMAITOŚCI.

— Ktokolwiek puścił się drogą z Zasławia do Sławuty, (gub. Wołyńska) podziwiać musi ogromne, okolające to ostatnie miasteczko lasy. Ciemne ich konary splecione, zasłaniają niemal promienie słoneczne. Dziwnie też uderzy uwagę podróżnego, gdy dojeżdża do Sławuty, migocące, czy dniem czy nocą, światełko, jak błędny ognik śród największéj gęstwiny. Jest to ogromna ku niebu sięgająca sosna, a na niéj, między *dwoma* krzyżami, obraz Matki Boskiéj z lampką nieustannie płonącą. Przed laty kilkunastu książe Roman Sanguszko, wybrawszy wspaniałe to drzewo, zawiesić kazał na nim obraz, i lampkę srebrną ufundował. Lud okoliczny, przywiązany do pana swego, przylgnął całem sercem do jego pobożnéj ofiary, i szczególne do Obrazu nabożeństwo uczuwać zaczął. Wkrótce potem miejsce to z powodu licznie gromadzących się tam pobożnych, *Nową-Częstochową* nazwano; zjawiła się i skarbonka, do któréj ubożsi szelągi, bogatsi złotówki wkładają, a te dobroczynne ofiary, obracane są na potrzeby miejscowego kościołka. Nikt tego miejsca nie minie, bez zatrzymania się i pobożnego westchnienia.

Od Redakcji.

— Prostujemy niniejszem w ten sposób wiadomość podaną przez niektóre dzienniki, jakoby główny kierunek redakcji *Opiekuna Domowego* przeszedł w inne ręce,—że pan J. K. *Turski* zaproszony został do redakcji jako współpracownik czynny, główny zaś kierunek pisma tego pozostaje ten sam jak dotąd. Nadmieniamy również przy téj sposobności: że drzeworyt „*Stworzenie Kobiety*,” umieszczony w N. 16 tego pisma, jest wierną kopją obrazu p. *Clay'a*, uwieńczonego najpierwszą nagrodą na paryzkiéj wystawie sztuk pięknych w 1855 r. odbytéj.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Dnia 28 Kwietnia (10 Maja) 1865 r.